C. H. Thames (Stephen Marlowe – Milton Lesser[1])

Miejsce w pełnym świetle

(A Place in the Sun)

Amazing Stories, October 1956
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

[1] Autorem opowiadania jest Stephen Marlowe, autor który najbardziej znany jest pod jednym ze swoich pseudonimów literackich Milton Lesser.

Mayhem, człowiek o wielu ciałach, otrzymywał od czasu do czasu różnego rodzaju niesamowite polecenia, ale ocalenie Chwały Galaktyki nie było zadaniem trudnym… było zupełną niemożliwością!

Sygnał SOS wśród trzasków i szumów mknął przez podprzestrzeń, z szybkością która pozostawiała powolne światło daleko z tyłu. Ponieważ odległości w podprzestrzeni mają się nijak do odległości w przestrzeni normalnej, jako pierwszy sygnał SOS odebrał fomalthautiański frachtowiec, zmierzający na Capellę, pomimo tego że wysłany został z punktu znajdującego się, w normalnej przestrzeni, w Układzie Słonecznym, w połowie drogi między orbitą Merkurego a koroną słoneczną.



Radiooperator fomalhautiańskiego frachtowca przekazał odebrany komunikat oficerowi wachtowemu, który tylko na niego spojrzał, zamrugał oczyma, i rzucił się na złamanie karku, na górny pokład, do kajuty kapitańskiej. Kiedy dotarł do jej drzwi, twarz miał zupełnie białą, a serce waliło mu z podniecenia jak młotem. Kiedy oficer wachtowy przeciął promień fotokomórki przed drzwiami, odezwał się metaliczny głos:

– Kapitan jeszcze śpi i wolno go budzić wyłącznie w przypadku, poważnych nagłych wypadków.

Oficer wachtowy skinął głową, przyłożył kciuk do zamka elektronicznego w drzwiach i wszedł do kajuty.

– Proszę o wybaczenie, sir – zawołał, – Ale właśnie przed chwilą otrzymaliśmy sygnał SOS od…

Kapitan poruszył się rozespany, usiadł, włączył zieloną nocną lampkę i popatrzył zmrużonymi oczyma na oficera wachtowego.

– No i o co chodzi? Czy Oko już nie działa?

– Tak jest, sir. Ale sir, SOS…

– Jeżeli jesteśmy na tyle blisko żeby im pomóc, w podprzestrzeni czy też w normalnej przestrzeni, proszę podjąć normalne kroki, panie poruczniku. Z pewnością nie ma potrzeby, abym to ja…

– Sir, normalne kroki nie mogą zostać podjęte. Na tyle, o ile mogę się zorientować, ten statek jest skazany na zagładę. Znajduje się na kursie kolizyjnym z Sol, i obecnie jest już w odległości jedynie dwudziestu milionów mil od niego.

– To fatalna wiadomość, panie poruczniku – kapitan oznajmił to z prawdziwym współczuciem w głosie. – Przykro mi to słyszeć. Ale co pan chce, abym z tym zrobił?

– Chodzi o statek, sir. Ten statek, który wysłał sygnał SOS… proszę przytrzymać się koi, sir…

– Może przejdzie pan już do rzeczy, dobrze, młody człowieku? – warknął kapitan rozespanym głosem.

– Ten statek, który wysłał sygnał SOS, statek lecący kursem kolizyjnym na Sol, to *Chwała Galaktyki*!

Przez chwilę kapitan nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Gdzieś, z oddali, dolatywał do niego szum podprzestrzennej jednostki napędowej i słabe pojękiwanie generatora stazy. Potem kapitan podpinał się od łóżka i zerwał się z niego. W pośpiechu zapomniał jednak, że statek znajduje się w pobawionej siły ciężkości otwartej przestrzeni, i popłynął przez pomieszczenie, młócąc w powietrzu rękoma. Porucznik pomógł mu znaleźć się z powrotem na podłodze, i założyć buty z magnetycznymi podeszwami.

– Mój Boże – w końcu zastanawiał się kapitan. – Jak to się mogło stać? Jak to się mogło przydarzyć właśnie *Chwale Galaktyki*?

– Co pan ma zamiar zrobić, sir?

– Nic nie mogę zrobić. Nie mogę wziąć za to odpowiedzialności. Niech radiooperator natychmiast skontaktuje się z Ośrodkiem.

– Tak jest, sir.

Chwała Galaktyki, statek który nadał komunikat SOS i kierował się kolizyjnym kursem na Słońce, znajdował się w dziewiczym rejsie, w który wyruszył z krążących wokół Ziemi satelitów montażowych. Miał wykonać

przysłoneczne przejście przez wewnętrzną przestrzeń układu solarnego, które powinno przeprowadzić go w odległości dwudziestu paru milionów mil od Słońca, w kierunku Marsa, który obecnie znajdował się po przeciwnej stronie Sol w stosunku do Ziemi. Na pokładzie błyszczącego nowością statku znajdował się prezydent Federacji Galaktycznej, wraz z całym swoim gabinetem.

Wiadomość alarmowa z fomalhautiańskiego transportowca, została odebrana przez Ośrodek Galaktyki, już po kilku chwilach od jej nadania, chociaż odległość w normalnej przestrzeni wynosiła między nimi mniej więcej sto tysięcy lat świetlnych. Wiadomość była przerzucana –– w zadziwiająco krótkim czasie –– od biura do biura Ośrodka, przebijając się przez zwyczajową biurokrację, dzięki swojemu najwyższemu, bezwzględnemu priorytetowi. I –– ponieważ żadna z normalnych agencji Ośrodka nic nie mogła z nią zrobić –– wiadomość w końcu dotarła do biura, które bardzo rzadko otrzymywało jakiekolwiek oficjalne wiadomości. Było to bowiem bardzo nieoficjalne, ponad-prawne biuro Ośrodka Galaktyki. Ponieważ nie miało ono żadnej oficjalnej funkcji, z technicznego punktu widzenia po prostu nie istniało, i nie można było go znaleźć w żadnym z informatorów Ośrodka. W chwili obecnej, siedziało w nim dwóch młodych mężczyzn. Ich jedynym zadaniem było utrzymywanie łączności z człowiekiem, którego samo istnienie poddawane było w wątpliwość przez większość ludzi zamieszkujących Galaktykę, a którego znaczenie, w tych dawnych czasach, gdy Liga Galaktyczna stawała się Federacją Galaktyczną, nie dawało się mierzyć przy pomocy zwykłych ludzkich standardów.

Człowiek, z którym utrzymywali kontakt, nazywał się Johnny Mayhem.

– Czy przeczytałeś to? – spytał jasnowłosy mężczyzna.

– Tak, przeczytałem.

– Jeżeli dotarło to aż tutaj, to oznacza, że nie można tego załatwić nigdzie indziej.

– Oczywiście, że nie można. Co takie zwykłe kołki, jak oni, albo jak my sami, moglibyśmy z tym robić?

– Nic, jak mi się wydaje. Ale poczekaj no! Nie chcesz chyba powiedzieć, że masz zamiar wysłać tam Mayhema, nie pytając go o to i nic mu nie mówiąc…

– Przecież teraz nie możemy go spytać, co nie?

– *Elan* Johnny'ego Mayhema w tej chwili mknie z Canopusa na Deneba, gdzie na czwartej planecie Układu Denebiańskiego, czeka na niego w zamrażarce martwe ciało. Przekształcenie Układu Denebiańskiego ze statusu Ligi do Federacji, wywołało w Deneb City szereg problemów, a więc Mayhem…

– Deneb City prawdopodobnie jakoś bez Mayhema przeżyje. Czy nie tak?

– Pewnie tak, ale…

– Wiem. Zgodnie z umową, mamy obowiązek powiedzieć Mayhemowi gdzie się udaje i czego powinien oczekiwać na miejscu. Również zgodnie z umową, każda zamieszkała planeta przechowuje w zamrażarce ciało, czekające na jego *elan*. Ale czy nie wydaje ci się, że gdybyśmy mogli powiedzieć Mayhemowi teraz…

– To niemożliwe. Jest w trakcie tranzytu.

– Czy nie wydaje ci się, że gdybyśmy jednak mogli z nim teraz pogadać, to zgodziłby się udać na pokład *Chwały Galaktyki*?

– A skąd niby mam to wiedzieć? Ja nie jestem Johnnym Mayhemem.

– Jeżeli on nie znajdzie się na pokładzie tego statku, to oznacza dla nich pewną śmierć.

– A jeżeli przerzucimy go na jego pokład, to co on u licha może tam zrobić? Poza tym, na tym statku, podobnie jak i na żadnym innym, nie mamy lodówki z ciałem, które by czekało na jego *elan*. Mógłby co najwyżej grać rolę bardzo efektownego ducha.

– Ale są żywi ludzie. Całe mnóstwo. *Elan* Mayhema jest absolutnie zdolna do przejęcia żywego nosiciela.

– Pewnie. Teoretycznie to jest możliwe. Ale, do diabła, jakie będą tego skutki? Nigdy tego nie robiliśmy. To mogłoby nawet Mayhemowi zaszkodzić. A co do nosiciela…

– Nosiciel może umrzeć. Wiem o tym. Ale przecież on i tak umrze. Cały statek pełen ludzi leci kursem kolizyjnym w Słońce.

– Czy komunikat SOS mówi dlaczego?

– Nie. Może Mayhem zdoła się tego dowiedzieć i coś z tym zrobić.

– **T**aaa, może. To cholernie głupi sposób na ryzykowanie życiem najważniejszego człowieka Galaktyki. Przecież jeżeli Mayhem dostanie się na pokład tego statku, i nie zdoła zapobiec katastrofie, to zginie razem ze wszystkimi pozostałymi.

– Dlaczego? Zawsze możemy wydostać stamtąd jego *elan*.

– Gdyby znajdowała się w ciele martwej osoby. W żyjącym ciele, nie wydaje mi się. Przyciąganie będzie silniejsze. Musimy wziąć pod uwagę siły spójności…

– To prawda. Nadal jednak Mayhem jest naszą jedyną nadzieją.

– Zgadzam się z tym, że to jest robota dla Mayhema, ale on jest zbyt ważny.

– Naprawdę jest? Nie bądź głupcem. Na czym właściwie polega znaczenie Johnny Mayhema? Jego znaczenie polega na tym, że można spisać go na straty. Jego życie –– za pomoc dla nowej Federacji Galaktycznej.

– Ale…

– A na pokładzie tego statku jest prezydent. Być może na dłuższą metę, nie jest on w stanie zrobić tak wiele dla Galaktyki co Mayhem, ale, człowieku, nie możesz traktować go jako marionetki. W obecnej chwili to on jest najważniejszym człowiekiem w Galaktyce, i gdybyśmy tylko mogli z nim porozmawiać, pewien jestem, że Mayhem by się ze mną zgodził.

– To zabawne, że tyle lat już pracujemy z Mayhemem, a nigdy nawet nie mieliśmy okazji gościa spotkać.

– Poznałbyś go, gdybyś go zobaczył?

– Hmm…mm, nie wydaje mi się. Myślisz, że naprawdę możemy zatrzymać jego *elan* w podprzestrzeni i przerzucić ją na *Chwałę Galaktyki*?

– Przyjmuję, że zaczynasz widzieć sytuację w podobny sposób jak ja. A odpowiedź na twoje pytanie brzmi, tak.

– Biedny Mayhem. Wiesz, tak prawdę mówiąc, to facetowi współczuję. Przeżył już więcej przygód, niż ktokolwiek od czasu napisania przez Homera *Odysei*, a nigdy nie będzie mógł zaznać spoczynku.

– No to skończ z tym współczuciem dla niego, i zacznij mieć nadzieję, że odniesie kolejny sukces.

– Taaa.

– I zobaczmy czy uda nam się namierzyć jego *elan*.

Dwóch młodych mężczyzn podeszło do 3D mapy, która zajmowała większość pomieszczenia. Jeden z nich nacisnął przycisk i mapa rozjarzyła się niebieskim światłem, jasno i wyraźnie pulsującym w miejscach gdzie przecinały się różne sektory kosmosu.

– Jest teraz w C-17 – powiedział jeden z mężczyzn, kiedy nagle w pewnym miejscu na niebieskie tło nałożony został błyszczący biały punkt.

– Możesz go namierzyć?

– Chyba tak. Ciągle jednak współczuję Mayhemowi. Spodziewa się obudzić w ciele z zamrażarki na Denebie IV, a zamiast tego znajdzie się w żywym ciele na pokładzie statku kosmicznego, zmierzającego kursem prosto w środek Słońca.

– Po prostu trzymaj kciuki, żeby…

– Wiem. Żeby mu się udało. Nawet nie chcę dopuszczać do siebie myśli, że może ponieść porażkę.

W czasie kilku sekund, jasny biały punkt, przesunął się po powierzchni 3D mapy, z sektora C-17 do sektora S-1.

C*hwała Galaktyki* znajdowała się obecnie w odległości dziewiętnastu milionów mil od Słońca i pędziła przez kosmos na napędzie działającym w normalnej przestrzeni, z szybkością stu mil na sekundę. Tak więc w ciągu każdych trzech godzin, *Chwała Galaktyki* zbliżała się do zagłady w płomieniach, o okrągły milion mil. Jednak ponieważ do tej szybkości należało dodać siłę przyciągania grawitacyjnego, statek miał zanurzyć się w koronę słoneczną, w czasie nieco dłuższym, niż dwadzieścia cztery godziny.

Ponieważ układy chłodzące statku powinny działać doskonale, do chwili kiedy kadłub nie rozgrzeje się do temperatury tysiąca stu stopni Fahrenheita, żaden z pasażerów nie wiedział nawet, że dzieje się coś złego. Nawet marynarze z załogi, wykonywali swoje normalne czynności. Jedynie oficerowie *Chwały Galaktyki*, chodzący w zupełnie nowiutkich mundurach ze złotymi szamerunkami, znali ponurą prawdę o tym, co czekało błyszczący, statek o wyporności dwóch tysięcy ton, za mniej niż

dwadzieścia cztery godziny, dokładnie w punkcie środkowym jego przejścia przysłonecznego.

Jakaś –– jak do tej pory jeszcze niezidentyfikowana –– z tych wszystkich tysięcy złożonych rzeczy, które mogą pójść źle na statku kosmicznym, a szczególnie nowym statku, odbywającym swój dziewiczy rejs, poszła źle. Oficerowie drobiazgowo sprawdzali swoje działy i różne elementy procedury służbowej –– i to wcale nie dlatego, że zagrożone było ich własne życie. Podczas lotu kosmicznego, twoje własne życie zawsze jest zagrożone. Na zbyt wiele rzeczy nie ma się wpływu: do pewnego stopnia zawsze jest się spisanym na straty. Kontyngent zaokrętowany na pokład *Chwały Galaktyki*, stanowił doborową grupę, pieczołowicie wybraną spośród wszystkich oficerów w Układzie Słonecznym.

Niczego jednak nie byli w stanie znaleźć. Ani niczego zrobić.

Za niecałą dobę ich życie, razem z życiem marynarzy, którzy zaciągnęli się na pokład *Chwały Galaktyki* i pasażerów biorących udział w jej dziewiczym rejsie, wyparuje w niesamowitej eksplozji słonecznego żaru.

A prezydent Federacji Galaktycznej miał zginąć, ponieważ jakaś nieznana przyczyna zablokowała stery statku kosmicznego, uniemożliwiając jego skręt, albo użycie rakiet dziobowych dla przeciwdziałania przyciąganiu grawitacyjnemu Słońca.

Dziewiętnaście milionów mil. W normalnej przestrzeni, to znaczna odległość. Sto mil na sekundę –– bardzo znaczna prędkość jak na normalną przestrzeń. Powiększająca się…

Od czasu kiedy opuścili satelity montażowe Ziemi, Sheila Kelly często widywała, należącego do korpusu ochrony prezydenta, agenta Secret Service, który nazywał się Larry Grange. Lubiła Larry'ego, aczkolwiek w relacjach między nimi nie było nic poważnego. Był przystojny i czarujący, a jej, w naturalny sposób, schlebiało jego zainteresowanie. Pomimo tego, że był starszy niż Sheila, wyczuwała że był on ciągle bardziej chłopakiem niż mężczyzną i odnosiła dziwne wrażenie, że postawiony w obliczu prawdziwego kryzysu, mógłby w tragiczny sposób potwierdzić jej odczucia.

Na pokładzie *Chwały Galaktyki* panowała noc. Należało przez to rozumieć, że na korytarzach i w publicznych pomieszczeniach statku, białe światła dzienne zostały zastąpione przez niebiesko-zielone oświetlenie nocne. Wszystkie porty widokowe były szczelnie zamknięte dla ochrony przed szaleńczym blaskiem słonecznym. Trudno było uwierzyć, pomyślała sobie Sheila, że znajdowali się jedynie dziewiętnaście milionów mil od Słońca. Wszędzie było tak chłodno, wszystkie pomieszczenia były tak komfortowo klimatyzowane…

Miała się spotkać z Larrym w Salonie Słonecznym, sympatycznym kabarecie, który podobał jej się tak, jak żaden inny ziemski klub nocny,

jaki miała okazję zobaczyć kiedykolwiek wcześniej. Ściany pokrywały stylizowane rysunki znaków zodiaku, a sufit wspierał się na niebiesko lśniących lustrzanych kolumnach. Podobnie jak w przypadku wszystkich pozostałych pomieszczeń na pokładzie *Chwały Galaktyki*, z trudem można było uwierzyć, że Salon Słoneczny jest częścią statku kosmicznego. A dla Sheili Kelly –– która była trzecim sekretarzem departamentu Ekonomii Galaktycznej –– całe to otoczenie było absolutnie ekscytujące.

– Witaj, Larry – powiedziała, kiedy agent Secret Service dołączył do niej, przy ich stoliku. Był wysokim młodym mężczyzną, zbliżającym się do trzydziestki, z obciętymi na krótkiego jeżyka jasnymi włosami. Teraz jednak usiadł tylko ciężko na krzesełku i nie obdarował Sheili swoim zwyczajowym uśmiechem.

– O co u licha chodzi? – spytała go Sheila.

– O nic. Potrzebuję tylko drinka, to wszystko.

Przyniesiono drinki. Larry wychylił swojego jednym haustem i zamówił kolejnego. Jego całkowite milczenie zdumiało Sheilę, która w końcu stwierdziła:

– Z pewnością nie chodzi o coś, co ja zrobiłam.

– Ty? Nie bądź głupia.

– No wiesz! Biorąc pod uwagę sposób, w jaki to powiedziałeś, to nie wiem czy powinnam się cieszyć, czy gniewać.

– Zapomnij o tym, proszę. Bardzo cię przepraszam, słonko. Ja… – wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Jego własna dłoń, była wilgotna i zimna.

– Czy powiesz mi w końcu co się stało, Larry?

– Posłuchaj. Co ma zrobić człowiek, który podsłuchał coś, co nie było przeznaczone dla jego uszu, i…

– Skąd mogę wiedzieć, jeżeli nie powiesz mi co podsłuchałeś? Bo właśnie o tym w tej chwili rozmawiamy, nieprawdaż?

– Taaa. Byłem właśnie po służbie, i przechodziłem koło kwater oficerskich, kiedy… och, dajmy już temu spokój. Lepiej niczego ci nie powiem.

– Jestem dobrą słuchaczką, Larry.

– Posłuchaj, Irlandko. Jesteś dobra we wszystkim, i to jest szczera prawda. Dobrze wyglądasz, i masz głowę nie od parady. I jak mi się wydaje, że pod całą tą impertynencją Szmaragdowej Wyspy, kryje się również dobre serce. Ale…

– Ale nie chcesz mi powiedzieć o co chodzi.

– To nie tak, że ja nie chcę, ale nikt nie powinien o tym wiedzieć, nawet prezydent.

– Z pewnością udało ci się tak to wyrazić, że zabrzmiało to strasznie tajemniczo.

– Tylko oficerowie. Och, do diabła. Sam już nie wiem. Co by to dało, nawet gdybym ci o tym powiedział?

– Wydaje mi się, że ulżyłoby ci trochę na sercu, i to wszystko.

– Oficjalnie, nie powinienem tego mówić nikomu, Sheila. Kosztowałoby mnie to głowę. Ale muszę to przemyśleć, i muszę o tym z kimś porozmawiać. Chyba oszaleję, wiedząc co się dzieje i nic z tym nie robiąc.

– To bardzo ważne, nieprawda?

Larry szybko wlał w siebie kolejnego drinka. To już był jego czwarty, a Sheila nigdy wcześniej nie widziała, żeby wypijał więcej niż trzy lub cztery w trakcie całego wieczora.

– Masz cholerną rację, to jest bardzo ważne – Larry nachylił się w jej stronę, ponad malutkim stolikiem. Kiedy mówił do niej, jego oczy zacieniała wywołana alkoholem mgiełka. – To jest takie ważne, że jeżeli ktoś z tym czegoś nie zrobi, to za niecałe dwadzieścia cztery godziny, wszyscy będziemy martwi. Tylko problem na tym polega, że nie ma nic, co ktokolwiek mógłby z tym zrobić.

– Larry… jesteś już nieźle podpity.

– Wiem o tym. Wiem, że jestem. Chcę być pijany dużo bardziej. Co u diabła człowiek może na to poradzić?

– Co ty wiesz, Harry? Czego się dowiedziałeś?

– Wiem, że tutaj na pokładzie znajduje się prezydent Federacji Galaktycznej, i że jemu powinno się powiedzieć prawdę.

– Nie. Chodziło mi…

– Wysłali sygnał SOS, mała. Stery są zablokowane. Szalupy ratunkowe nie mają dostatecznie dużej mocy, aby wyrwać nas z uścisku przyciągania grawitacyjnego Słońca. Wszyscy tutaj usmażymy się na skwarki, mówię ci!

Sheila poczuła dzikie walenie serca. Nawet jeżeli zaszedł już całkiem daleko na drodze do tego, by się kompletnie upić, to Larry mówił prawdę. Instynktownie zdawała sobie z tego sprawę –– była tego pewna.

– I co masz zamiar zrobić? – spytała go.

Wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że ponieważ nie jestem w stanie zrobić nawet najmniejszej przeklętej rzeczy, to mam zamiar wstawić się i kompletnie się upić. To właśnie teraz zrobię. Albo może –– a kto to u diabła może wiedzieć? –– może za minutę zachce mi się wskoczyć na ten stół i opowiedzieć wszystkim o tym, co podsłuchałem. Myślisz, że może powinienem tak zrobić?

– Oj, Larry, Larry… jeżeli jest tak źle jak mówisz, to może powinieneś trochę pomyśleć, zanim w ogóle zrobisz cokolwiek?

– A kimże ja jestem, żeby myśleć? Ja jestem zwykłym mięśniakiem. To za to mi właśnie płacą, co nie?

– Larry, nie musisz krzyczeć.

– Czyżby? Naprawdę nie muszę?

– Jeżeli się nie uspokoisz, to będę musiała sobie pójść.

– Możesz spokojnie siedzieć dalej. Możesz zakotwiczyć tutaj nawet na całą noc. *To ja* sobie idę.

– Co ty wyprawiasz?

– Ot… właśnie to. – Larry wstał od stołu. Nagle wyglądało jakby pozieleniał, a Sheila pomyślała sobie, że to z powodu nadmiaru wypitego alkoholu. – Nie musisz się o mnie martwić, Sheila. Teraz już nie musisz. Nagle, poczułem się jakoś tak nienajlepiej. Głowa mnie boli. Jezu, nigdy

jeszcze nie czułem czegoś podobnego. Lepiej pójdę do swojej kabiny i trochę się położę. Może kiedy się obudzę, to okaże się, że wszystko było tylko złym snem, co?

– Nie potrzebujesz jakiejś pomocy? – dopytywała się Sheila, z prawdziwym zatroskaniem w głosie.

– Nie. Dam sobie radę. Kobieto, ten ból głowy naprawdę zwala mnie z nóg. Ouć! Bez żadnego ostrzeżenia.

– Pozwól, że ci pomogę.

– Nie. Po prostu zostaw mnie w spokoju, dobrze? – Larry zataczając się, ruszył przez zatłoczony parkiet taneczny. Ze wszystkich stron bombardowały go gniewne spojrzenia i szeptane komentarze od kolejnych par, którym przeszkadzał w krążeniu w rytm walca „Dunaj w Kosmosie” Carlottiego.

Dlaczego masz pretensje Grange, pomyślał sobie Larry, z trudem idąc zejściówką w stronę swojej kabiny. Przecież to jest coś, czego zawsze chciałeś, co nie?… Zająć jakieś ważne miejsce.

Miejsce w pełnym świetle, tak to się nazywa.

– Dobra, będziesz miał swoje miejsce w pełnym świetle – wymamrotał na głos, sam do siebie. – Roztrzaskasz się dokładnie w samym środku Słońca, razem ze wszystkimi innymi na pokładzie tego statku!

Czarny humor tej myśli, przewrotnie go rozbawił. Uśmiechnął się –– chociaż uczucie jakie go opanowało bliższe było szyderstwu –– i pchnięciem otworzył drzwi swojej kabiny. To co powiedział Sheili, wcale nie było wymówką. Ból głowy rzeczywiście rozdzierał mu czaszkę. Spadł na niego całkowicie nagle, i nie był podobny do żadnego bólu głowy, jaki przeżył kiedykolwiek wcześniej. Pulsował, łupał i wiercił mu w skroniach, wbijając rozżarzone do czerwoności igły w dno gałek jego oczu, niemal zupełnie go oślepiając. Wysysał z niego wszystkie siły, powodując że poczuł olbrzymią słabość fizyczną. Ledwie zdołał zamknąć za sobą drzwi i zataczając się dotrzeć do prysznica.

Lodowato zimny prysznic, pomyślał sobie, powinien mi pomóc. Szybko się rozebrał i wpadł pod rozpylone zimne igiełki. Do tej chwili był już taki słaby, że z trudem stał.

Miejsce w pełnym świetle, pomyślał sobie…

Coś złapało mu umysł i gwałtownie go skręciło.

Johnny Mayhem obudził się.

Przebudzenie następowało powoli, zresztą tak jak zawsze. To był jakby wzlot ponad nieskończone przestworza, jakby powtórne narodziny człowieka, który umierał setki razy, i może umrzeć kolejne tysiące, podczas gdy lata gromadziły się i stawały się wiekami. Czuł jakby wirował, obracał się wzlatując w mgnieniu oka z ciemności w krainę mieniącą się kolorami, pełną jasności, oszałamiającą.

I nagle nastąpił koniec.

Obłok lodowatych igiełek zimnej wody, uderzał w niego, spływając mu po ciele. Zadygotał i sięgnął do kurków z wodą, zakręcając jej dopływ. Ociekając wodą, wygramolił się spod prysznica.

I poleciał –– zupełnie nieważki –– pod sam sufit.

Marszcząc brwi swojej nowej, i jeszcze nawet nie oglądanej, twarzy, Johnny Mayhem odepchnął się w stronę podłogi. Popatrzył na swoje ręce. Był zupełnie nagi –– przynajmniej tyle się zgadzało.

Ale ewidentnie, ponieważ znajdował się w stanie nieważkości, nie był na Denebie IV. Podczas transmigracji został wcześniej krótko wprowadzony w problemy, jakie pojawiły się na Denebie IV. Czy gdzieś została popełniona jakaś pomyłka? To zawsze było możliwe, ale nigdy wcześniej jeszcze się nie przydarzyło.

Za wiele związane z tym było dokładnego i uważnego planowania.

Każda planeta, na której mieszkali Ziemianie i na której znajdowała się placówka Ligi Galaktycznej –– a obecnie, Federacji Galaktycznej –– miała obowiązek przechowywać zamrożone ciało, oczekujące na Johnny'ego Mayhema, w razie gdyby potrzebne były jego usługi. Nikt nie wiedział, kiedy usługi Mayhema mogą być potrzebne. Nikt też nie wiedział, w jakich dokładnie okolicznościach Rada Federacji Galaktycznej, działającej z Ośrodka Galaktyki, może Mayhema wezwać. A jedynie bardzo niewielka grupa ludzi, nawet spośród tych znajdujących się w Ośrodku, Przywódców Ligi Galaktycznej na cywilizowanych planetach, i Obserwatorów na planetach pogranicza, znała precyzyjną mechanikę sposobu przybycia Mayhema.

Johnny Mayhem, bezcielesna istota myśląca. Mayhem który –– wtedy jeszcze jako Johnny Marlow –– siedem lat temu był ściganym przez Ziemię pariasem i kryminalistą, który odniósł śmiertelną ranę na dzikiej planecie, daleko w głębi Roju Wodnika, któremu uratowała życie –– w pewnym sensie –– biała magia tej planety. Mayhem, który skazany był obecnie na potencjalną nieśmiertelność, jako bezcielesna osobowość, *elan*, mogąca zajmować i pobudzać do działania ciała, pod warunkiem że były one właściwie przechowywane… *elan* skazana na wieczną wędrówkę, ponieważ nie mogła w jednym ciele pozostawać dłużej niż przez miesiąc, nie narażając ciała i samej *elan*. Mayhem, który poświęcił swoje dziwne, samotne życie, służbie na rzecz Lidze Galaktycznej –– obecnie Federacji Galaktycznej –– ponieważ normalne życie i normalne stosunki społeczne były dla niego czymś niemożliwym…

Nie wydawało się możliwe, pomyślał po chwili Mayhem, aby mogła zostać popełniona jakaś pomyłka. A więc… nagła zmiana planów?

To również nigdy wcześniej się nie przydarzyło, ale było całkiem możliwe. Coś, zdecydował Mayhem, musiało się wydarzyć w czasie jego transmigracji. Musiało to być coś straszliwie ważnego, a ludzie z Ośrodka nie mieli możliwości, aby go o tym zawiadomić.

Ale –– o co mogło chodzić?

Pierwszy szok spotkał go chwilę później. Podszedł do wiszącego na ścianie lustra i z aprobatą ocenił silne młode ciało, które miało być domem dla jego jestestwa, a potem spojrzał groźnym wzrokiem. W środku jego głowy odezwała się bowiem jakaś myśl.

A więc to tak wygląda, kiedy dostaje się schizofrenii.

A co to u diabła było? Pomyślał Mayhem.

Powiedziałem, a więc tak to wygląda, kiedy dostaje się schizofrenii. Najpierw najgorszy w życiu ból głowy, a potem zacząłem myśleć jak dwóch różnych ludzi.

Ty nie jesteś martwy?

Czy to miał być jakiś żart, moje alter ego? Kiedy pojawią się ludzie w białych kitlach?

Dobry Boże, to miało być martwe ciało!

Po usłyszeniu tego, inne jestestwo, które dzieliło ciało z Mayhemem, prychnęło i zatopiło się w ciszy. Mayhem, ze swojej strony nie mógł wyjść ze zdumienia.

No, nie musisz się tak od razu obrażać, starał się go udobruchać Mayhem. *Nazywam się Johnny Mayhem. Czy to ci coś mówi*?

Och, pewnie. To znaczy że jestem trupem. Ty zamieszkujesz tylko martwe ciała, co nie?

Zazwyczaj. Słuchaj… gdzie my jesteśmy?

Na Chwale Galaktyki. *Lecimy z Ziemi na Marsa i jesteśmy w peryhelium.*

I macie jakieś kłopoty?

Skąd wiesz, że mamy kłopoty?

Inaczej by mnie tutaj nie wysłano.

Na pokładzie statku jest prezydent. Mamy uderzyć w Słońce. Potem, niechętnie, Larry przeszedł do szczegółów. Kiedy skończył, pomyślał cynicznie. *A więc, wszystko co musisz zrobić, to wyjść z kabiny i wrzeszczeć: Bez obaw, jest tu Mayhem i wydaje mi się, że wszystko będzie w porządku.*

Mayhem nic nie odpowiedział. Potrzebował jeszcze trochę czasu, zanim będzie w stanie dostosować się do tej nowej i nieoczekiwanej sytuacji. W pewnym sensie jednak, pomyślał sobie, może to mieć i dobre strony. Jeżeli będzie współdzielił ciało żyjącego człowieka, który był na *Chwale Galaktyki* znany, to nie będzie musiał ujawniać swojej tożsamości jako Johnny'ego Mayhema nikomu innemu, poza swoim gospodarzem…

– **M**ówię wom – zawołał technik pierwszej klasy Ackerman Boone, – że urządzenia chłodzące siadły na chwilę. Nie możecie jeszcze tego poczuć, ale musicie o tym wiedzieć. Chłodziarki pracują pełną mocą, a temperatura podniosła się o kilka stopni. Albo na chwilę siadły, albo jesteśmy za blisko Słońca, mówię wom!

Ackerman Boone był wielkim chłopem, weteranem kosmicznych szlaków, o masywnym, bardzo silnym ciele i łapskach jak u orangutana. W

normalnych okolicznościach, był bardzo dobrym marynarzem, i doskonałym nabytkiem dla każdej załogi, nosił jednak w sobie nadmierną urazę do korpusu oficerskiego i mógł trochę przesadzać, aby wyglądali oni źle w oczach innych znajdujących się na statku ludzi. W zawieszonych hamakami kwaterach załogi Chwały Galaktyki, zebrał się spory tłum, słuchający jak Boone kontynuuje swoim niskim, huczącym głosem.

– No to spytałem dowódcę wachty, tak właśnie zrobiłem. Natychmiast zaczął zezować oczyma na boki, tak jak to oni zawsze robią. Wiecie przecież. Nie chciał nic mówić, ale jakem Ackerman Boone, jestem pewien, że coś jest nie tak.

– Jak myślisz, co to może być, Acky? – spytał go jeden z młodszych mężczyzn.

– No cóż, powiem wom tak. Wiem, co to nie jest. Sprawdziłem dokładnie chłodziarki trzy razy, rozumiecie, i nie znalazłem niczego. Chłodziarki są w tip top porządku, a jeżeli ja wam tak mówię, to tak jest. A więc, jeżeli chłodziarki są w porządku, to może to być tylko jedna rzecz: za bardzo zbliżamy się do Słońca! – Boone zacisnął mocno usta i stał nieruchomo, z muskularnymi rękoma skrzyżowanymi na swojej beczkowatej piersi.

Młody technik trzeciej klasy, stwierdził natarczywym głosem:

– Chciałeś powiedzieć, że według ciebie nurkujemy w stronę Słońca, Acky?

– No cóż, jak na razie, jeszcze tego nie powiedziałem. Czy nie tak, chłopcze? Ale *jesteśmy* za blisko, a skoro jesteśmy za blisko, to musi być jakiś powód do tego. Jeżeli pozostaniemy za blisko dłużej, to O.K. Wtedy powiem, że nurkujemy w stronę Słońca. W tej chwili, nie wiem.

Potem wszyscy zaczęli wypytywać Ackermana Boone, który był ich nieoficjalnym przywódcą, co ma zamiar z tym zrobić. Zaczął drapać się swoimi wielkimi paluchami, po grubej szczecinie kilkudniowej brody na szczęce, i przez chwilę słychać było tylko odgłosy jego sapania. Potem oznajmił:

– Nic, dopóki nie dowiemy się tego z pewnością. Ale mam takie przeczucie, że nasi oficerowie próbują mydlić oczy tym wszystkim ważnym politykom, których mamy na pokładzie. Jeżeli o mnie chodzi, ludzie, to jest w porządku. Jeżeli chcą tak robić, to pewnie mają swoje powody. Ale powiem wom tak: nie pozwolę, żeby mydlili oczy Acky Boone'owi, i to jest fakt.

Dokładnie w tym momencie zaskrzeczała szczekaczka.

– Uwaga załoga! Uwaga załoga! Technik/1 Ackerman Boone do biura pierwszego oficera. Technik/1 Ackerman Boone do biura pierwszego oficera.

– Rozumiecie? – powiedział Boone, ponuro się uśmiechając. Jak na razie nikt nie rozumiał. Z twarzą ciągle wykrzywioną w ponurym uśmiechu, Ackerman Boone ruszył na górny pokład.

– **I** na tym właśnie, panie prezydencie – poważnie oznajmił wiceadmirał T. Shawnley Stapleton, – polega problem. Przyszlibyśmy do pana znacznie wcześniej, sir, ale szczerze mówiąc…

– Wiem, panie admirale – cicho odparł prezydent. – W żaden sposób nie byłbym w stanie wam pomóc. Poinformowanie mnie nie miało żadnego sensu.

– Mamy pewną szansę, sir, i to jest jedyne wyjście. Tego nie da się do końca przewidzieć i prawdopodobnie wytrzepie wszystkie bebechy z *Chwały Galaktyki*, ale być może dzięki temu uratujemy nasze życie. Jeżeli nagle wrzucimy statek do podprzestrzeni, może uda nam się przejść przez miejsce w którym znajduje się Słońce i…

– Nie jestem naukowcem, panie admirale, ale czy nie wywoła to ogromnych przeciążeń działających nie tylko na statek, ale również na wszystkich z nas, którzy jesteśmy na jego pokładzie?

– Wywoła, sir. Nie mam zamiaru niczego przed panem ukrywać, oczywiście. Zostaniemy poddani przeciążeniu dwudziestu kilku g, przez okres kilku sekund. Tutaj, na pokładzie *Chwały* nie mamy odpowiedniego wyposażenia antyprzeciążeniowego. To podobna sytuacja, sir, jak za dawnych czasów, z lotami samolotowymi. Kiedy tylko samoloty osiągnęły rozsądny poziom bezpieczeństwa, podczas lotów pasażerskich przestano myśleć o zabieraniu spadochronów. W wyniku tego, w okresie ponad pięćdziesięciu lat, zginęły tysiące ludzi. Wszyscy będziemy potłuczeni i poobijani, sir. Wiele złamań kości. Może być kilka ofiar śmiertelnych. Ale nie widzę innego wyjścia z tej sytuacji, sir.

– A więc w ogóle nie było potrzeby, aby uzależniać to od mojej decyzji, zapewniam pana, admirale Stapleton. Proszę robić wszystko, co wydaje się panu najlepszym rozwiązaniem, sir.

Admirał poważnie skinął głową.

– Dziękuję panu, panie prezydencie. Muszę jednak powiedzieć, że będziemy do ostatniej chwili czekać na cud.

– Niestety, nie nadążam za tokiem pańskich myśli.

– No cóż, nie oczekuję cudu, ale takie nagłe przejście do podprzestrzeni, nieuchronnie obarczone jest dużym czynnikiem ryzyka. Dlatego będziemy czekali z tym, aż do ostatniej możliwej chwili. Muszę pana ostrzec, że spowoduje to wzrost temperatury do nieprzyjemnego poziomu, ale dopóki napęd podprzestrzenny jest w stanie działać…

– Już rozumiem o co panu chodzi, panie admirale. Ma pan wolną rękę, jeszcze raz pozwolę sobie to powtórzyć. Nie będę się wtrącał w żaden sposób, i mam najwyższe zaufanie do pańskich umiejętności. – Prezydent otarł czoło już wilgotną chusteczką. Było coraz goręcej, jeżeli już o tym pomyśleć. Nieprzyjemnie gorąco.

Tak jakby na pokładzie Chwały Galaktyki, każdy miał powoli zacząć piec się żywcem…

Ackerman Boone wszedł do kwater załogi, mając na ustach nadal ten sam uśmiech co przedtem. Początkowo nic nie mówił, ale jego milczenie zaczęło przyciągać ludzi, jak magnes przyciąga opiłki żelaza. Kiedy już wszyscy skupili się wokół niego, oznajmił:

– Pierwszy nie tylko przeżuł moje uszy – zahuczał. – Niemal napluł mi nimi w twarz! Miałem rację, ludzie. Przyznał się do tego, kiedy zorientował się, że nie uda mu się niczego ukryć przed Ackermanem Boone. Słuchajcie ludzie, lecimy kursem kolizyjnym prosto w Słońce!

Jego słowa przywitało zszokowane milczenie, a Ackerman Boone, instynktowny urodzony mówca, zrobił dramatyczną przerwę, aby pozwolić każdemu ze słuchaczy na przeżycie kilku chwil piekła zgrozy, we własnych myślach. Potem przemawiał dalej:

– Admirał wymyślił, że mamy jedyną szansę na wyjście z tego z życiem, ludzie. Wymyślił…

– O co chodzi, Acky?

– Co on chce zrobić?

– Jak admirał ma zamiar nas z tego wydostać?

Ackerman Boone splunął na wypolerowaną, lśniącą czystością podłogę w kwaterach załogi.

– On nigdy nie wyciągnie nas z tego żywcem, muszę wam powiedzieć. Chce przejść do podprzestrzeni w ostatniej możliwej chwili. Nagle. Od tak… – i tutaj Ackerman Boone strzelił palcami.

– Na statku będzie kupa połamanych kości – ktoś zaprotestował. – Nie możemy zrobić czegoś takiego.

– On nas wszystkich pozabija! – histerycznie krzyknął młody T/3.

– Nie! Jeśli tylko ja będę miał coś tutaj do powiedzenia, to tego nie zrobi! – zawołał Ackerman Boone. – Posłuchajcie ludzie. To nie jest kwestia dyscypliny. To jest kwestia życia lub śmierci. I mówię wam, że to coś dużo bardziej istotnego, niż tylko posłusznie wykonywać swoją robotę, jak każe regulamin, dyscyplina, czy cokolwiek innego w tym stylu. Mamy szansę, to prawda: ale nie taką, o jakiej myśli admirał. Powinniśmy opuścić *Chwałę*, i niech sobie leci dalej prosto w Słońce. My powinniśmy wynieść się stąd w szalupach ratunkowych –– każda żywa istota na pokładzie tego statku, do ostatniego człowieka.

– Ale czy szalupy będą miały dostatecznie dużą moc, aby wyrwać się z przyciągania grawitacyjnego Słońca? – ktoś zapytał.

Ackerman Boone wzruszył ramionami.

– Nie patrzcie na mnie – kpiąco oznajmił. – Ja jestem tylko zwykłym marynarzem, a zwykłych marynarzy nie uczy się dostatecznie dużo matematyki, aby mogli odpowiedzieć na takie pytania. Ale na podstawie moich odcisków, jakich nabawiłem się w tej robocie, powiedziałbym że tak. Tak, możemy się stąd wydostać w ten sposób –– pod warunkiem, że będziemy działać szybko. Ponieważ każda minuta, jaką tracimy, to minuta która zbliża nas do Słońca, i powoduje, że trudniej będzie uciec w szalupach. Ludzie, jeżeli mamy działać, to musimy działać szybko.

– Mówisz o buncie, Boone – stwierdził stary, posiwiały weteran kosmosu. – Mnie możesz w to nie wliczać.

– O co chodzi, McCormick? Cykor?

– Nie jestem tchórzem. Mówię natomiast, że zachowanie dyscypliny w obliczu rzeczywistego niebezpieczeństwa, wymaga prawdziwych jaj. Mówię, że to *ty tchórzysz*, Boone.

– Lepiej żebyś był gotów poprzeć to swoimi pięściami, McCormick – dziko zawołał Boone.

– Jestem gotów w każdej chwili, kiedy tylko będziesz chciał, ty tchórzliwy buntowniczy bękarcie!

Ackerman Boone rzucił się na mniejszego i starszego człowieka, który stał niewzruszenie na swoim miejscu, chociaż prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że dostanie niezłe baty. Ale czterech czy pięciu marynarzy weszło pomiędzy nich, rozdzielając ich i odciągając, a jeden z nich powiedział:

– Popatrz kto to mówi, Boone. Powiedziałeś nam, że czas jest cenny, a pierwsze co chcesz zrobić, to wszcząć bójkę. Każda minuta…

– Każda *sekunda* – ponuro odparł Boone, – przybliża nas o ponad sto mil do Słońca.

– Co możemy zrobić, Acky?

Zamiast odpowiedzi, Ackerman Boone dramatycznym gestem otarł pot z twarzy. Do tej pory wszystkim ludziom zrobiło się bardzo gorąco. Oczywiste było, że temperatura na *Chwale Galaktyki*, wzrosła już jakieś piętnaście czy też dwadzieścia stopni, pomimo tego że urządzenia chłodzące pracowały z pełną mocą. Nawet grodzie i metalowa podłoga kwater załogi, stały się nieprzyjemnie ciepłe w dotyku. Powietrze zrobiło się gorące i nagle stało się bardzo suche.

– Powiem wam, co powinniśmy zrobić – w końcu oznajmił Ackerman Boone. – Admirał Stapleton, czy nie admirał Stapleton, prezydent Federacji Galaktycznej, czy nie prezydent Federacji Galaktycznej, powinniśmy przejąć ten statek i załadować ludzi do szalup ratunkowych, dla dobra wszystkich. Jeżeli oni nie chcą uratować życia swojego i naszego… to my uratujmy nasze życie i ich!

Słowa Boone'a przywitał ryk aprobaty, ale marynarz McCormick i paru innych weteranów stanęło na boku, nie biorąc udziału w głośnej wymianie zdań, jaka nastąpiła potem. Tak właściwie, to gwałtowne słowa Boone'a – – które zaryzykował po pierwszym wybuchu entuzjazmu, w odpowiedzi na jego plan –– spowodowały, że zaczął tracić popleczników. Jeden po drugim, ludzie przesuwali się w stronę milczącej grupy McCormicka, aż w końcu Boone niemal stracił całe swoje grono słuchaczy.

Akurat wtedy do kwater załogi wpadł T/2 i krzyknął:

– Hej, czy jest tu gdzieś Boone? Czy ktoś widział Boone'a?

To wywołało wybuch powszechnego śmiechu. W istniejących okolicznościach, pytanie to nie było pozbawione aspektów humorystycznych.

– O co chodzi? – zaczął dopytywać się Boone.

– Chłodziarki, Boone! Gonią już resztkami sił. Przeciążają się i przepalają. Za pół godziny ten statek zamieni się w piekarnik, tak gorący, że nas wszystkich pozabija!

– Słyszycie, ludzie? Pół godziny! – zawołał Ackerman. – Albo przejmiemy statek i załadujemy ludzi do szalup teraz, albo już tego nie zrobimy w ogóle.

Ryk towarzyszący jego słowom, miał zdecydowanie charakter popierający.

– **O**to są obliczenia – powiedział admirał Stapleton. – Jak pan widzi, panie prezydencie, jeżeli wsadzimy ludzi do szalup ratunkowych, to nie mamy najmniejszej szansy. Zginęlibyśmy z taką samą pewnością, jak gdybyśmy pozostali na *Chwale Galaktyki*, w normalnej przestrzeni.

– Panie admirale, muszę pozostawić to panu. Nie wiem, jak pan jest w stanie myśleć… w tym upale.

– Muszę, sir. Inaczej wszyscy zginiemy.

– Temperatura powietrza…

– Wynosi sto trzydzieści stopni i ciągle rośnie. Rozdaliśmy ludziom tabletki solne, sir, ale to jest jedynie kwestia czasu, zanim wszyscy nie zwalimy się z nóg. Jeżeli jest pan pewien, sir, że chce pan dać nam zgodę…

– Admirale Stapleton, to pan dowodzi tym statkiem, a nie ja.

– A więc, bardzo dobrze, sir. Wysłałem mojego oficera podprzestrzennego, porucznika Ormundy, żeby włączył napęd podprzestrzenny. Powinniśmy wiedzieć już za kilka chwil…

– Żadnych uprzęży antywstrząsowych, czy czegoś takiego?

– Bardzo mi przykro, sir.

– To nie pańska wina, panie admirale. Po prostu wskazywałem na fakt.

Szczekaczka ryknęła ogłuszająco:

– Słuchajcie mnie wszyscy! Słuchajcie mnie wszyscy! T/1 Ackerman Boone do admirała Stapletona! Czy pan mnie słyszy, admirale?

Wynędzniała, nosząca ślady walki z gorącem twarz admirała Stapletona, przybrała wyraz zdumienia, kiedy słuchał dalszego ciągu komunikatu. Akerman oznajmił:

– Mamy porucznika Ormundy'ego, panie admirale. Musi pan zrozumieć, że nie pozwolimy mu na zabicie nas wszystkich, poprzez przerzucenie nas do podprzestrzeni w ciągu kilku minut, kiedy powinno to zająć kilka godzin. Mamy Ormundy'ego i zajęliśmy pomieszczenie sterowania napędem podprzestrzennym. Kontyngent naszych ludzi przygotowuje do użytku szalupy ratunkowe. Mamy zamiar opuścić statek, panie admirale, i zabrać wszystkich obecnych na pokładzie, włączając w to pana i polityków. Nawet jeśli będziemy musieli zaciągnąć was na pokład szalup, pod lufami N-karabinów.

Twarz admirała Stapletona pokryła się bladością.

– Dajcie mi radio! – Ryknął na całe gardło. – Chcę odpowiedzieć temu człowiekowi, i zobaczymy czy dokładnie rozumie co oznacza bunt!

Kiedy Ackerman Boone przemawiał przez szczekaczki, temperatura na pokładzie *Chwały Galaktyki*, wzrosła do 145° Fahrenheita.

– **P**iętnaście minut – powiedział Larry Grange. – Za piętnaście minut gorąco spowoduje, że wszyscy stracimy przytomność. – Tyle, że nie mówił tego sam Larry. To był jednocześnie Larry i Johnny Mayhem. W zaskakująco krótkim czasie, młody agent Secret Service zaakceptował tę podwójną obecność w swoim umyśle. Była ona faktem: albo była to podwójna obecność, albo szaleństwo, a jeżeli głos który odzywał się w jego głowie, powiedział że nazywa się Johnny Mayhem, to był to Johnny Mayhem. Poza tym, Larry czuł jasność myśli, jaką odczuwał po raz pierwszy w życiu, pomimo straszliwego, wysysającego siły witalne gorąca. Wyglądało to tak, jakby nagle wydoroślał –– słowo wydoroślał przyszło mu na myśl instynktownie –– na przestrzeni kilku minut.

– Co możemy zrobić? – spytała Sheila. – Załoga w pełni kontroluje statek.

– Szef Secret Service mówi, że każdy z nas ma działać na własną rękę. Nie ma czasu na skoordynowane planowanie, ale w jakiś sposób, w ciągu naprawdę paru minut, musimy dostać się do pomieszczenia sterowania napędem podprzestrzennym i wyrzucić statek z normalnej przestrzeni, albo się kompletnie usmażymy.

– Paru waszych ludzi już tam jest, co nie?

– W zejściówce koło tej sterowni, taaa. Ale nigdy nie zdołają się przebić do środka na czas. Nie przy pomocy blasterów, ani nawet N-karabinów. Nie w ciągu dziesięciu minut, nie ma mowy.

– Larry, nagle… ja… zaczęłam się bać. Wszyscy tutaj zginiemy, Larry. Ja nie chcę umierać… Larry, co masz zamiar zrobić?

Szli pustym bocznym korytarzem, który prowadził ich do jednego z tylnych luków ratunkowych *Chwały Galaktyki*. Przesiąknięte potem ubranie lepiło im się do ciała, a każdy oddech był męczarnią, rozpalonym gorącem.

– Wychodzę na zewnątrz – spokojnie oznajmił Larry.

– Na zewnątrz? Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Skafander, a potem na zewnątrz. W pomieszczeniu sterowania napędem podprzestrzennym jest właz. Jeżeli ich uwaga skierowana będzie na drzwi prowadzące z korytarza, to może uda mi się wejść do środka. To nasza jedyna szansa… nasza i wszystkich pozostałych.

– Ale skafander…

– Wiem… – przerwał jej Larry, zakładając już na siebie pneumatyczny ubiór próżniowy. Tak jakby był Larrym… ale jednocześnie nie był nim. Czuł pewność siebie i zaufanie we własne siły, świadomość że robi to co powinien –– uczucie jakiego Larry Grange nigdy wcześniej jeszcze nie doświadczył w swoim życiu. To było tak, jakby w finalnych chwilach swojego życia, chłopiec stał się mężczyzną. Albo, przyszło mu na myśl zupełnie nagle, jakby Johnny Mayhem, który współdzielił z nim umysł i ciało, w jakiś sposób przekazał mu swoje własne umiejętności i pewność siebie, a nawet to on –– Mayhem –– podjął decyzję wyjścia na zewnątrz.

– Wiem – dokończył. – Skafandry kosmiczne nie mają dostatecznie grubej izolacji. Nie mogę być w kosmosie dłużej niż około trzy minuty. Trzy minuty, i muszę dostać się do środka. W przeciwnym razie koniec ze mną.

– Ale, Larry…

– Nie rozumiesz tego, Sheila? Jakie to ma znaczenie? Po co mi te dodatkowe pięć czy dziesięć minut, jeżeli wszyscy i tak tutaj zginiemy? Dzięki temu, chociaż jest jakaś szansa.

Pozapinał skafander i uniósł ciężki, podobny do kuli dla rybek hełm, przygotowując się do nałożenia go na głowę.

– Poczekaj – powiedziała Sheila i stanęła na palcach u nóg, aby przytrzymać go rękoma za twarz i pocałować w usta. – Ty… ty się zmieniłeś – wyjaśniła. – Jesteś tym samym, bardzo zabawnym facetem, ale teraz jesteś… także mężczyzną. To za to, co mogłoby między nami być, Larry – dodała i ponownie go pocałowała. – A to dlatego, że cię kocham.

Zanim opuścił hełm na miejsce, Larry odparł:

– To nie było za to, co mogłoby być, Sheila. To za to, co będzie.

Hełm zamknął się z trzaskiem, na grzbiecie ramion skafandra. Chwilę później, wślizgnął się do śluzy powietrznej.

– **M**ówię, że jesteś kretynem, Boone! – jeden z członków załogi warknął na przywódcę buntu. – Mówię, że teraz straciliśmy naszą ostatnią szansę. Już za późno na załadowanie się do szalup ratunkowych, nawet gdybyśmy chcieli to zrobić. Jedyne co nam teraz pozostało, to… zginąć!

W sterowni napędu podprzestrzennego znajdowało się jeszcze dziesięciu przytomnych ludzi. Pozostali padli już wcześniej, powaleni gorącem, i leżeli porozrzucani na podłodze, zupełnie mokrzy i dziwnie zwiotczali, jakby z rozciągniętych ciał wyciśnięta została cała wilgoć, poza pokrywającą ich skórę warstwą potu.

– No dobrze – przyznał Ackerman Boone. – No dobrze, tak więc nikt z nas nie wie, jak działa mechanizm napędu podprzestrzennego. Myślisz, że to by coś nam pomogło? Mówiłem ci, że to by nas wszystkich pozabijało.

– To była jakaś szansa, Boone. Nasza ostatnia szansa, a ty…

– Po prostu zamknij się! – warknął Boone. – Wiem, co sobie myślisz. Myślisz, że powinniśmy pozwolić tym wszystkim oficerom i agentom Secret Service, dostać się do napędu podprzestrzennego. Ale człowieku, użyj trochę głowy! Prawdopodobnie wszystkich nas tutaj pozabijają, a nawet jeżeli nie, to…

– A więc przyznajesz, że to jest jaka szansa!

– Taaa. W porządku, to jest jakaś szansa. Ale nawet jeżeli nas wszystkich nie zabiją, jeżeli uratują nas dzięki walnięciu napędem podprzestrzennym, to co wtedy? Wszyscy staniemy przed sądem pod zarzutem buntu. To jest zbrodnia główna, ty głupcze!

– Cóż, to i tak lepsze niż pewna śmierć – odparł mężczyzna i ruszył w stronę drzwi.

– Allister, zaczekaj – zawołał Boone. – Zaczekaj, ostrzegam cię! Każdy człowiek, który spróbuje otworzyć te drzwi…

Z zewnątrz można było dosłyszeć nieustanny huk ognia blasterów, ale odporne na atak drzwi, trzymały się pewnie.

– …zostanie natychmiast zabity! – dokończył Boone.

Z ponurym uporem Allister podszedł do drzwi i złapał swoimi pokrytymi pęcherzami palcami za mechanizm zamka.

Ackerman Boone strzelił mu w plecy z N-karabinu.

Kiedy Larry pełznął cal po calu po zewnętrznej stronie kadłuba *Chwały Galaktyki*, wydawało mu się, że całe jego ciało zmienia się w jedną masę spękanych pęcherzy. Nie miał pojęcia, jak gorąco było w kosmosie, ale żar promieniował z rozgrzanego kadłuba *Chwały*, parzącymi, duszącymi falami, które przeszywały bez trudu warstwę izolacyjną skafandra. Jeżeli nie uda mu się znaleźć właściwego włazu i w ciągu kliku sekund…

– Ktoś jeszcze? – wrzasnął Boone. – Ktoś jeszcze chce skończyć jak Allister?

Ale pozostali ludzie, jeden po drugim, padali z gorąca. W końcu pod drzwiami pozostał tylko –– samotny –– Ackerman Boone, wyzywająco wpatrujący się w rozgrzany metal, tak jakby mógł przez niego widzieć swoich przeciwników. Po drugiej stronie, strzały stały się bardziej sporadyczne, w miarę jak przytomność tracili kolejni oficerowie statku i agenci Secret Service. Umysł Ackermana Boone oszalał na skutek gorąca i strachu, tak więc marynarz nagle poczuł żal, że nie może zobaczyć ludzi znajdujących się po drugiej stronie drzwi, żałował że nie może widzieć, jak umierają…

To był ten właz, albo koniec. Wydawało mu się, że to ten właściwy, ale nie był tego pewien. Przestał już cokolwiek widzieć. Wzrok go zupełnie zawodził. Ból zmienił się teraz w otępiającą pustkę, gdzieś w oddali, stał się zaledwie cieniem samego siebie. Być może Mayhem absorbuje część uczucia bólu, przelewając je na siebie. Może Mayhem przejął ból i gdzieś tam cierpi w głębi znękanego ciała jakie współdzielili, tak by on, Larry mógł nadal myśleć. Może…

Pokryte pęcherzami palce, z trudem ledwie mogły się poruszać wewnątrz izolowanych rękawic, Larry zaczął obmacywać właz.

Ackerman Boone gwałtownie odwrócił się do tyłu. Wcześniej skupiał swoją uwagę całkowicie na drzwiach z korytarza, i odgłosy dochodzące spoza pleców –– które co prawda słyszał już od kilku sekund, ale nie

zwrócił na nie uwagi, nie uważając ich za niebezpieczne –– dopiero teraz skłoniły go do odwrócenia się.

Jakiś człowiek zrywał z siebie skafander kosmiczny. Dosłownie oddzierał kolejne jego paski od swojego czerwonego jak u raka ciała. Zamrugał na Boone'a, nie widząc go. Jaskrawe światło Słońca oślepiło go, pomyślał Boone, a potem uświadomił sobie, że również i jego wzrok zaczyna zawodzić.

– Zabiję cię, jeżeli choćby zbliżysz się do napędu podprzestrzennego! – wrzasnął Boone.

– To jedyna szansa dla nas wszystkich, i dobrze o tym wiesz, Boone – spokojnie odparł człowiek. – Nie próbuj więc mnie zatrzymywać.

Boone uniósł swój N-karabin i mrużąc oczy próbował rozpędzić mgłę gorąca i oślepiająco jasnego światła. Tracił wzrok! Tracił wzrok…

W dzikim szale zaczął strzelać z N-karabinu. Gwałtownie, we wszystkie strony, zalewając pomieszczenie deszczem ognia…

Larry rzucił się na ślepo przed siebie. Dwukrotnie potknął się o nieprzytomnych ludzi, ale podniósł się i szedł dalej. Nie widział samego Boone'a, ale mógł dostrzec –– niewyraźnie –– ogień z lufy jego N-karabinu. Zataczając się, przedarł się przez pomieszczenie w stronę błysków wystrzałów, i w końcu objął strzelającego ramionami…

Zorientował się, że walczy o swoje życie. Boone teraz już kompletnie oszalał –– z powodu gorąca oraz ciężaru osobistej porażki. Gryzł, kopał nogami i próbował rozszarpać Larry'ego, silnymi podobnymi do szponów palcami. Zacisnął mocno pięści i wymachiwał rękoma, młócąc nimi w powietrzu, jak wiatrak, jednak na tyle często trafiając w cel, aby zmusić poobijanego Larry do schylenia się niżej, do podłogi.

Z ponurą determinacją Larry chwycił się przeciwnika, podciągnął się w górę po ciele Boone'a, oparł głowę o jego pierś, i sam zaczął uderzać pięściami, niczego nie czując, nie wiedząc nawet czy jego ciosy trafiają, czy nie, nie słysząc nic, poza odległym rykiem w uszach, rykiem który mówił mu, że traci przytomność, i musi zacząć działać –– natychmiast –– jeżeli miał zamiar w ogóle kogokolwiek uratować…

Stał i ze wszystkich sił walił pięściami.

Uderzył po raz kolejny… w powietrze

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że Boone upadł nieprzytomny, dopóki nie nadepnął nogą na bezwładnie leżące ciało mężczyzny. Potem, szybko, pośpieszył w kierunku pulpitu sterującego, biegnąc na ślepo w jego stronę, albo raczej, w stronę której myślał, że powinien on się znajdować. Potknął się o coś i przewrócił jak długi na gorącą, parzącą wręcz do bólu, podłogę. Jakoś jednak udało mu się pozbierać i popełznął do przodu, a następnie podciągnął się po czymś do góry…

Nie miał czucia w palcach. Nie wiedział nawet, czy rzeczywiście dotarł do pulpitu sterującego, ale w tej chwili nagle sobie uświadomił, że od kilku minut nie czuł w myślach obecności Mayhema. Czy może Mayhem oszczędzał swoje siły na ostateczną próbę, pozwalając Larry'emu zająć się poprzednimi męczarniami, tak by teraz…

Tak, przypomniał sobie mgliście Larry. To właśnie o to musiało chodzić. Ponieważ to Mayhem, a nie on, wiedział jak ustawić odpowiednie

przełączniki i przyciski. Teraz jego umysł zapadł w mgłę na wpół nieświadomości, ale jednak jakoś zarejestrował, że jego własne pokryte pęcherzami palce, przez pewien czas pewnie biegały po pulpicie sterującym, zarejestrował następnie głębokie wewnętrzne westchnienie –– czy ulgi, czy tryumfu, tego nie wiedział –– a na koniec zarejestrował gwałtowny, straszliwy, skręcający ból, który zdawał się odzierać pasy skóry z jego ciała, jego ciało z kości, świadomość z ciała…

– **C**zy widzi pan cokolwiek? – spytał go lekarz.

– Tak – odparł Larry, kiedy zdjęto mu bandaże z oczu. W pokoju, razem z lekarzem, znajdowały się trzy osoby –– admirał Stapleton, prezydent… i Sheila. Jakoś Sheila wydawała się mu z nich wszystkich najważniejsza.

– Jesteśmy teraz w podprzestrzeni, dzięki panu – poinformował go admirał. – Wszyscy wskutek transferu doznaliśmy lekkich obrażeń, ale były tylko dwie ofiary śmiertelne, jak zadowoleniem mogę powiedzieć. A statek, naturalnie, jest zupełnie bezpieczny.

– To co mnie intryguje, Grange – stwierdził prezydent, – to jak ci się udało ustawić odpowiednie ustawienia na pulpicie sterującym. Skąd u diabła tyle wiesz o napędzie podprzestrzennym, chłopcze?

– Te dwie ofiary śmiertelne – dodał admirał, – to był Ackerman Boone i ten człowiek, którego zabił. – Potem admirał uśmiechnął się szeroko. – Czy nie widzi pan, panie prezydencie, że on nie zwraca na nas najmniejszej uwagi? Wydaje mi się, że w tej chwili, nasz bohater ostatnich godzin, wpatruje się wyłącznie w obecną tutaj pannę Kelly.

– Proszę panów o wybaczenie, panowie, ale tak – ze szczęściem wyznał Larry.

Kiwając głowami i uśmiechając się, prezydent Federacji Galaktycznej i admirał Stapleton wyszli z pomieszczenia ambulatorium –– razem z lekarzem.

– No cóż, mój bohaterze – powiedziała Sheila i uśmiechnęła się.

Larry zdał sobie sprawę –– zupełnie nagle –– że, wewnątrz swojego umysłu, był zupełnie sam. Mayhem wykonał zadanie i zniknął bez śladu.

– Wiesz – mówiła dalej Sheila, – to wygląda jakbyś… no dobrze, mam nadzieję, że nie poczujesz do mnie urazy… jakbyś dzisiejszej nocy wydoroślał.

Zanim ją pocałował, Larry odparł:

– Być może masz rację. Może pewnego dnia, opowiem ci o tym. Ale nigdy w to nie uwierzysz.

KONIEC